

Kiedy życie jest kłamstwem, a prawda może zabić!

JESSICA BARRY

Bez wład

Katastrofa lotnicza
to dopiero początek
walki o życie



JESSICA BARRY

Bezwład

Przełożyła
Maria Smulewska



REBIS

Dom Wydawniczy REBIS

Tytuł oryginału
Freefall

Copyright © 2019 by Hudson & Guide Post Limited
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2018

Redaktor
Błażej Kemnitz

Projekt i opracowanie graficzne okładki
Krzysztof Rychter

Fotografia na okładce
© Rekha Garton/Arcangel

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.
Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

Wydanie I
Poznań 2019

ISBN 978-83-8062-514-3

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl
DTP: AKAPIT, Poznań, tel. 61-879-38-88

*Moim rodzicom –
z wdzięcznością i miłością*

Allison

Oddychaj. Oddychaj.

Otwieram oczy. Nade mną gałęzie. Przez chwilę gapi się na mnie stado ptaków. Odlatują.

Przeżyłam.

On może też.

Muszę sprawdzić. Brnę boso przez szczątki.

Gdzie się podziały moje buty? Nieważne. Wszędzie kawałki powykręcane metalu. Jedno ze skrzydeł utknęło między konarami. Z gałęzi zwisa papier toaletowy. Kabina jak rozcięta puszka, dwa rzędy foteli z kremowej skóry. Robię krok do przodu i zaglądam do środka.

Jest. Jego klatka piersiowa opadła na wolant.

– Hej! – Mój głos mnie zaskakuje. – Słyszysz mnie?

Cisza. Syk silnika. Benzyna sączy się na trawę.

Szybko – do kabiny. Uwaga na ostre krawędzie. A on wciąż trzyma nadajnik radiowy. Kabel urwany. Trącam go ostrożnie.

Ciało opada na ścianę kokpitu.

Brakuje mu twarzy.

Muszę się stąd wydostać.

Wymiotuję, potem siadam. *Skup się.*

Jakie są fakty? Jestem sama. Jestem w górach. Samolot, którym leciałam, się rozbił. Ciało mam obite i podrapane. Na

lewej nodze rana, w której wkrótce rozwinie się zakażenie, jeśli jej nie zdezynfekuję. Zwichnęłam albo złamałam palec, bo podejrzenie szybko puchnie. Wody i jedzenia mam bardzo mało. Słońce jeszcze jest wysoko, ale za kilka godzin zapadnie zmrok, moje jedyne schronienie to powyginana sterta metalu, która w każdej chwili może wybuchnąć.

Robi mi się niedobrze ze strachu. Najbardziej ze wszystkiego chciałabym się położyć na trawie i przymknąć te ciężkie powieki. Zaczynam się zastanawiać, jak to jest umrzeć. Czy ma się wtedy takie wrażenie spadania jak przy zasypianiu? Czy będzie światło w tunelu, czy tylko ciemność?

Przestań.

Nie chcę umierać. Potrzebuję jakiegoś planu.

Musisz stąd uciekać.

Głos w mojej głowie jest natarczywy, nagły.

Musisz uciekać musisz uciekać musisz uciekać.

Przeżyć.

Moja torba. Na drzewie. Ściągnąć ją. Zignorować przeszywający ból w barku. Przetrzęsam rzeczy spakowane na weekendowy wypad do Chicago. Wyrzucam sukienki koktajlowe, szpilki, delikatne staniki i koronkowe majtki. Strój na siłownię. Bogu dzięki. Przynajmniej coś się przyda. Ściągam natchmiast bawełnianą sukienkę, głupi stanik i majtki. *Nie myśl o siniakach na udach. Nie myśl o ranach na biodrach. Nie myśl o dziwnie wygiętym małym palcu i jego niepokojąco sinym kolorze. Nie myśl o krwi na białej sukience, na brzuchu, na udach. Nie myśl. Uciekaj.* Wciągam legginsy do biegania, sportowy stanik, skarpety, darmową koszulkę, którą dostałam na jakimś biegu ulicznym.

Telefon. Muszę znaleźć moją komórkę. Gdzie się podziała? Rozglądam się wokół. Nigdzie jej nie ma.

Uciekaj. Uciekaj. Flakonik drogich perfum, szampon i odżywka, olejek do demakijażu, krem myjący i peeling, osobne

mleczka do ciała, twarzy, rąk i pod oczy – wszystko to wyrzucam. Suszarka do włosów i lokówka – wyrzucam. Kable. Wyrzynam je i pakuję. Pusta butelka po toniku, składane lusterko i podróżny spray do włosów. Mogą się przydać. Odkładam je na bok. Wyrzucam dezodorant, zestaw do makijażu i szczotkę do włosów. Balsam do ust chowam do kieszeni i zaciągam zamek.

Ciężar torby da się przeżyć. Teraz jego walizka. Przez dziurę wystaje rękaw koszuli od Turnbull&Asser. T-shirt. Bluza z Harvardu. Tę wkładam. *Nie myśl o tym, że nim pachnie.* Boże, pachnie zupełnie jak on.

Musisz uciekać.

Wyciągam z jego walizki wypasioną wiatrówkę. Skarpety. To tyle.

Co jeszcze? Myśl. Te rzeczy pomogą ci przeżyć.

Na niskiej gałęzi łopocze pokrowiec na szybę samolotu. Zwinąć. Przywiązać do torby. Apteczka utknęła za zgniłym pnem. Plastikowe pudełko jest pęknięte, ale zawartość przetrwała: jodyna, spirytus, bandaże, nożyczki, środki przeciwbólowe i przeciwhistaminowe, pęseta, zestaw do szycia, taśma.

Skupiam wzrok na kabinie. Moja komórka. *Musisz tam wrócić.* W środku jest też jedzenie. Woda. Bez tych rzeczy nie przeżyję nawet dwóch dni. Z silnika wydobywa się dym, czarny, gęsty.

Wchodź. Wchodź.

Plastikowa torba. Dokładnie tam, gdzie ją zostawiłam – schowana za przednim miejscem pasażera. Cztery batoniki proteinowe, torebka z orzeszkami, nieotworzona nawet butelka z wodą. Puszka diet coke. Robi mi się słabo. Macam dłońią po podłodze i natrafiam na ostre odłamki szkła. Wyciągam komórkę i spoglądam na roztrzaskany ekran. Próbuje ją włączyć, ale pokryty pajęczyną pęknięć ekran jest uparcie czarny. Zepsuta. *Kurwakurwakurwa.* I tak ją zabieram. Oczy

mi łzawią od dymu. *Skup się. Skup.* Sięgam za tylne siedzenie. Koc, gruba taśma klejąca, lina. Znów sięgam. Cienki metalowy kształt zapalniczki. Wszystko to trafia do torby. Światło przygasa. Czas stąd uciekać.

Wychodź. Wychodź. Mój zwierzęcy instynkt dosłownie wrzeszczy, ale chwila. Jaki jest plan? *Przeżyć.* Wspinam się po wraku samolotu, unikając ostrych jak brzytwa krawędzi. Staram się nie myśleć o bólu w barku i zmasakrowanej twarzy mężczyzny, którego niedawno dotykałam. *Patrz.* Pokryte śniegiem wierzchołki gór wbijają się w zabójczo piękne, błękitne niebo. Poniżej zielone wzgórza. Ich delikatne fale zdobione drzewami i usiane kwiatami ciągną się aż po horyzont. Ani śladu człowieka, a nawet ścieżki. Zbocze jest strome, ale stosunkowo równe, bez nagłych urwisk, które czają się na pozostałych stronach. A na dole, na dnie doliny widzę cienki pasek lustra. Woda. Plan. Ta ścieżka jest moim planem.

Uciekaj. Uciekaj. Zeskakuję z wraku.

Z powrotem zarzucam torbę na ramiona i wrzeszcząc z bólu, wsuwam ręce w rączki, a długi pasek owijuję sobie wokół talii. Syk silnika ustał w końcu, ale wciąż się dymi. Oglądam się raz jeszcze i widzę rozrzucone szkło, kawałki plastiku i stertę moich rzeczy, które odrzuciłam.

Nie zostało tu nic. Nic wartego uratowania.

Słońce już zachodzi. *Musisz uciekać.*

Maggie

Był wczesny ranek, niebo miało jeszcze odcień ciemnego różu, nie zbladło do błękitu. W tle cicho brzęczało radio, na blacie powoli stygł kubek kawy, a Barney ocierał mi się o kostki, licząc na drugie śniadanie. Deski podłogi skrzypiały jak zawsze. Spojrzałam na kartkę z przepisem, choć właściwie nie musiałam. Od lat piekłam ten chleb i znałam przepis na pamięć, ale był spisany silnym, pewnym pismem Charlesa, lubiłam więc spoglądać na tę kartkę przy pracy. To po prostu należało do mojego rytuału.

Ciasto było ciepłe i miękkie, gdy odrywałam je od dłoni i zagniatałam, czując, jak rozciąga się i gęstnieje mi w palcach. Nie powinnam wyrabiać ciasta – pogarszałam tylko w ten sposób artretyzm, który zagnieżdził mi się w knykciach po tych wszystkich latach pisania na klawiaturze. Mimo to co tydzień piekłam chleb, choć zwykle do piątku czerstwiał mi i pleśniał.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Zignorowałam to. Jeśli teraz przestanę, chleb mi nie wyjdzie, a poza tym na głowie miałam istne gniazdo i nadal byłam w szlafroku i kapciach, które dostałam od Charlesa sześć lat temu. Zresztą to pewnie listonosz. Wsunie awizo pod drzwi i sobie pójdzie.

Znów rozległ się dzwonek. Westchnęłam i kuchenną ścierką wytarłam mąkę z rąk. *Ktokolwiek to jest – pomyślałam – lepiej, żeby to było coś dobrego.*

Kiedy otworzyłam drzwi i zobaczyłam Jima w policyjnym mundurze, pomyślałam, że pewnie przyszedł po to żaroodporne naczynie Lindy. Zostawiła je u mnie, gdy przyniosła mi lasagne, a Linda zawsze pilnuje swoich sprzętów kuchennych. Ale wystarczyło, że spojrzałam na jego twarz, a potem na to zdenerwowane chuchro za nim, zapięte pod szyję i w ukrochmalonych błękitach, i już wiedziałam, że nie chodzi o żadne naczynie.

– Możemy wejść? – spytał Jim, zdejmując kapelusz i przyciskając go sobie do serca.

Znaliśmy się z Jimem Quinnem od szkoły średniej. Pamiętam, jak trącał mnie obgryzionym ołówkiem w tył głowy, żebym mu podpowiadała na historii Ameryki. Jim po prostu nie miał w zwyczaju pytać mnie, czy może wejść do mojego domu. Nagle widziałam tylko ten jego mundur i lśniąca odznakę.

– Jim, co się dzieje? – Mój głos zabrzmiał zbyt głośno.

– Może siądziemy. – Właściwie nie było to pytanie. Zagościł mnie do mojego domu. Za nim posłusznie dreptała policjantka. – To funkcjonariuszka Draper – powiedział, wskazując kobietę.

– Proszę mi mówić Shannon – powiedziała tak cicho, że ledwo ją usłyszałam.

– Dzień dobry. – Odwróciłam się z powrotem do Jima. – A teraz powiedz mi, co się dzieje.

Jim wziął mnie za ramię i zaprowadził do kuchennego stołu.

– Usiądź – rzekł delikatnie, ale stanowczo posadził mnie na krześle, a potem usiadł naprzeciwko. – Maggie, doszło do wypadku.

Serce mi zamarło.

– Linda? Nic jej nie jest? – Ale choć zadałam te pytania, i tak wiedziałam, że tu nie chodzi o jego żonę.

Pokręcił głową.

– Lindzie nic nie jest.

Wiedziała. Po prostu wiedziała. To tego boi się każdy rodzic. Tego dnia, gdy ktoś zadzwoni albo zapuka do ich drzwi i w jednej chwili cały ich świat przestanie istnieć.

– Ally – powiedziałam.

Skinął głową.

Patrzył na mnie tymi swoimi zażawionymi błękitnymi oczami.

– Wypadek samolotowy – odparł.

Świat zalała biel.

Maggie

– W wypadku samolotowym zaginęła urodzona w Maine Allison Carpenter, lat trzydzieści jeden. Ostatnio widziano ją, jak wsiadała do awionetki na lotnisku Midway w Chicago. Kilka godzin później samolot wysłał wezwanie pomocy i przypuszczalnie rozbił się gdzieś w Górach Skalistych. Trwa poszukiwanie wraku. Pilot, mający prawdopodobnie licencję prywatną, nie został dotąd zidentyfikowany. A już za chwilę doktor Alan Phillips odpowie na państwa pytania dotyczące wirusa, który zbiera żniwo w Boliwii. Pytanie, które nurtuje nas wszystkich, brzmi: Czy wirus ten dotrze aż tutaj?

Wyłączyłam radio. Przez tyle lat śledziłam życie innych ludzi. Obserwowałam, jak ich tragedie zmieniane są w przedstawienie. Przypomniałam sobie tę litość pomieszaną z ulgą, że te sprawy nie dotyczą mnie ani nikogo z moich bliskich... A teraz się to zmieniło.

Linda zaraz tu będzie – pomyślałam. Słysząc już było ryk jej samochodu, wyjechała więc pewnie zza rogu znajdującego się pół kilometra od mojego domu. Kupiła tego cadillaca z dziesięć lat temu od byłego sprzedawcy kosmetyków Mary Kay. Jim nie znosił tego auta i tylko czekał, aż wyzionie ono ducha, żeby kupić jej ładnego, rozsądnego lincolna czy inne auto odpowiednie dla żony komendanta policji. Tymczasem jednak różowy

cadillac okazał się – jak i Linda zresztą – nie do zdercia. Wciąż był na chodzie, a silnik miał tak głośny, że słyhać go było w całym Maine. Drzwi otworzyły się na oścież i na progu stanęła Linda. Jej jasne włosy były jeszcze mokre po prysznicu.

– Maggie.

To wystarczyło. Poczułam, jak coś we mnie pęka. Szloch, który starałam się dotąd zdusić, wyrwał się natychmiast. Rzuciła się do mnie i zaczęła mnie tulić. Nie wiem, jak długo łkałam, ale łzy jeszcze ciekły mi po policzkach, gdy usłyszałam odgłos innego silnika. Z mojego podjazdu wyjechał samochód. Mała policjantka dotrzymała słowa.

Otworzyłam oczy, a Linda kucnęła przede mną.

– Co mam robić? – Otarła mi łzy grzbietami dłoni.

– Nie wiem – powiedziałam. – Nie wiem. – Spojrzałam na nią. – Gdzie ona jest, Lindo? Gdzie ona jest?

Wciąż ten obraz przed oczami: Ally leżąca wśród powyręczanych kawałków metalu. Bałam się, że zwymiotuję.

– Ciii... Znajdą ją. Na pewno ją znajdą.

Posiedziałyśmy chwilę, a Linda głaskała mnie po włosach. W końcu znów mogłam normalnie oddychać.

– Przywiozłam ci leki na sen i leki, które pozwolą ci przetrwać dzień. – Zaczęła szperać w swojej wielgachnej torbie i wyciągnęła dwie pomarańczowe buteleczki. – Te są na noc – wyjaśniła, potrząsając buteleczką. – Ambien. Zwała z nóg. A te są na dzień. – Pochyliła się w moją stronę. – Valium – szepnęła, jakby ktoś mógł nas podsłuchiwać. – Zostało mi trochę po tym, jak Jimowi wypadł dysk.

Wzięłam je bez słowa i odłożyłam na blat za sobą, wiedząc dobrze, że ich nie tknę. Nie lubiłam brać leków. Nie brałam nawet ibuprofenu na ból głowy. Charles żartował sobie ze mnie i pytał, czy może za jego plecami zapisałam się do Adventystów Dnia Siódmego, ale ja po prostu nie lubiłam tego uczucia, że nie kontroluję własnego ciała.

– Co tu jeszcze dla ciebie mam? Jadłaś coś? Zapakowałam pół chlebka bananowego, który dziś upiekłam, chcesz? A może zrobić ci kanapkę?

Na samą myśl o jedzeniu zrobiło mi się słabo.

– Nie, dziękuję – powiedziałam, kręcąc głową.

Poklepała mnie po ręce.

– Zrobię nam herbaty.

Wstała i postawiła czajnik na palniku.

– Nie musisz tu ze mną siedzieć – powiedziałam, nie odwracając się w jej stronę. – Naprawdę nic mi nie jest. Nie wiem, dlaczego wszyscy tak dziś nade mną skaczą.

Zrobiło mi się nagle wstyd, że popłakałam się na jej oczach. Niby była moją najbliższą przyjaciółką, ale to nie miało znaczenia. Nigdy nie płakałam przy ludziach. Nawet przy Charlesie, kiedy jeszcze żył.

– Co ty wygadujesz? – oburzyła się. – Niby gdzie bym miała być?

Słuchałam odgłosów przygotowywania herbaty i wpatrywałam się w pęknięcie w ścianie. Kiedy to się zrobiło? Poczulałam nagły przymus, żeby wstać i natychmiast to naprawić. Zejść do piwnicy po szpachlówkę i szpachlę. Zrobić coś pożytecznego. Cokolwiek.

Postawiła przede mną kubek z herbatą i sama siadła z drugim. Przez kilka minut piłyśmy w milczeniu. Barney wskoczył na stół i trącił mnie nosem w policzek. Pogłaskałam go po tym jego długim, rudym futrze. Został na chwilę, mruczac radośnie, a potem zeskokczył i podszedł do swojej pustej miski. Wstałam i nasypałam mu jedzenia.

– Wiedziałaś, że planowała podróż w ten weekend? – spytała Linda.

Pokręciłam głową.

– Co ona w ogóle robiła w Chicago? To coś związanego z pracą?

Poczułam, jak tężeją mi ramiona.

– Nie wiem.

– I w dodatku prywatnym samolotem. Nie znam wielu ludzi, którzy podróżują prywatnymi samolotami. Może należał do jakiegoś jej klienta?

– Proszę cię, Lindo. Przecież mówię, że nie wiem. – W moim głosie słychać było złość.

– Przepraszam – mruknęła i spuściła wzrok na kubek. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło, że zasypuję cię tymi pytaniami. Jasne, że nie chcesz w tej chwili o tym rozmawiać.

To prawda, że nie chciałam o tym rozmawiać. Ale chodziło o coś więcej. Nie znałam odpowiedzi na wszystkie pytania Lindy dlatego, że nie wiedziałam nic o życiu Ally.

Wiedziałam tylko jedno, czego nie wiedziała Linda: że nie rozmawiałam z córką od ponad dwóch lat.

Mężczyzna stał nad urwiskiem i patrzył na góry. Popołudniowe słońce było ostre, uniósł więc rękę, żeby osłonić oczy.

Zbocze zaśmiecały powyginane kawałki metalu, a powietrze było ciężkie od zapachu benzyny. W kabinie leżało spokojnie jedno ciało bez twarzy. Fotel obok był pusty, pas wił się na skórzanym siedzeniu niczym wąż.

Mężczyzna obszedł pobojoywisko, zerwał z jakiejś gałęzi kawałek materiału, musnął obcasem zrytą ziemię. Niewiele zostało, ale to mu wystarczyło.

Wyjął telefon.

– To ja. Jestem na miejscu. On nie żyje.

Obejrzał się za siebie. Jedno ciało w samolocie. Jedna walizka na ziemi, otwarta, jej zawartość rozsypana. Para srebrnych szpilek, obcasy wznoszące się do nieba jak iglice. A jej nigdzie nie widać.

– Jestem pewien.

– Nie, nie ma.

– Tak, proszę pana. Tak zrobię.

Zapalił papierosa, zapałkę cisnął w kierunku pękniętego zbiornika paliwa. Jego płuca wypełnił kwaśny dym. Mężczyzna zaczął kaszleć.

Ostatnie spojrzenie na dymiący wrak.

Czas ruszać.

Maggie

Znów nie spałam. Nie mogłam zasnąć. Leżałam w łóżku i już nawet nie walczyłam z tym nachalnym ciągiem obrazów, który sunął mi przed oczami.

Strach. Ból. Krew. Ogień. Kości. Ally. A potem ten nowy element: Ben Gardner uśmiechający się do mnie ze zdjęcia, białe zęby, błękitne jak lód oczy.

Wstałam, gdy tylko poranne słońce zaczęło wpełzać przez szpary między żaluzjami. Barney miauknął żałośnie, kiedy wymknęłam się spod kołdry. Było trochę przed szóstą.

Zeszłam na parter i otworzyłam drzwi kuchenne. Odkąd dowiedziałam się o wypadku, nie wychodziłam jeszcze z domu. Zamarłam, gdy trawa wsunęła mi się między palce stóp. Niebo było jeszcze różowe, podwórko kryło się w mroku, ale słońce już przedzierało się przez drzewa i oświetlało górę zjeżdżalni i huśtawek.

Powinno być już wiele lat temu. Zjeżdżalnia upstrzona była rdzą, a w jednej z huśtawek brakowało krzeselka. Na pewno były bardzo niebezpieczne. Kotu bym na to nie pozwoliła wejść, a co dopiero dziecku. Co roku rozmawialiśmy z Charlesem o tym, że czas pozbyć się tego złomu. Mieliśmy ambitne plany, żeby zrobić w tym miejscu grządkę warzywną albo ogródek różany. Potem Charles wpadł na po-

mysł, żeby postawić tam ul. Wcale mi się to nie podobało. Pszczoły zawsze budziły mój niepokój. Ale co roku było tak samo: bez względu na to, co tym razem planowaliśmy, zjeżdżalnia i huśtawki nadal stały tam całe lato.

Prawda była taka, że żadne z nas nie potrafiło się zebrać i ich wyrzucić. Charles nigdy tego nie powiedział na głos, ale jestem pewna, że przed oczami wciąż miał Ally huśtającą się na naszym podwórku z zaróżowionymi z przejęcia policzkami i powiewającymi warkoczykami. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale chyba oboje wyobrażaliśmy sobie, że pewnego dnia na tej samej huśtawce zacznie się bujać nasz wnuczek albo wnuczka – choć oczywiście trzeba by wcześniej porządnie wszystko naprawić.

Przypomniało mi się, jak kiedyś Ally przybiegła do mnie, wskazując podrapane kolano.

– Jakim cudem zdołałaś spaść z huśtawki? – spytałam, oczyszczając ranę.

Spojrzała na mnie w dół szeroko otwartymi oczami i wzruszyła ramionkami.

– Chciałam zobaczyć, co się stanie, jak się puszcę.

Teraz, gdy stałam boso na trawniku, moje kości wydały się takie ciężkie. Wiedziałam, że nie wytrzymam tu ani sekundy dłużej. Muszę stąd uciec.

Wzięłam prysznic, ubrałam się i wyjechałam z domu jeszcze przed dziewiątą. Owl's Creek już nie spało. W piekarni na głównej ulicy była taka kolejka, że ludzie stali aż na chodniku. Czekali na poranną kawę, dzieci trzymały białe papierowe torby z babeczkami i kanapkami zapakowanymi na półkolonie. Jakaś matka w pośpiechu ciągnęła po chodniku małą dziewczynkę na hulajnodze. Wszyscy teraz mieli takie hulajnogi. Dziewczynka miała blond warkoczyki, a usta szeroko otwarte od ryku. Zaciskała oczy w poczuciu jakiejś dziecięcej krzywdy. Matka zauważyła, że na nią patrzę, uśmiech-

nęłam się więc ze współczuciem. Bóg jeden wie, że nie jest łatwo.

Opuściłam miasto szosą na jezioro i wjechałam na drogę numer 1 zakorkowaną przez osoby dojeżdżające do pracy w Bangorze lub Portlandzie. Nie przeszkadzało mi to. Za Freeport zrobiło się luźniej. Mijałam kolejne znajome miejsca. Motor Court Motel. Wielki czerwony napis sklepu C&R. Skręt na farmę Piperów. Potem zobaczyłam drogowskaz na lotnisko w Brunswicku i już wiedziałam, że prawie jestem na miejscu. Skręciłam w następny zjazd i pojechałam łukiem do Bowdoin.

Zaparkowałam na Federal Street za domem Stowe i ruszyłam w stronę kampusu. W lecie było tu cicho, ale nadal widać było pojedynczych studentów rozłożonych na trawniku z książkami, podwiniętymi rękawami i bosymi stopami. Kilku minęło mnie też z plecakami na plecach i zmarszczonymi minami. Wszystko tu było takie znajome – dwadzieścia lat przechodziłam przez ten trawnik i patrzyłam na takie dzieciaki – a jednak tego dnia czułam się jak intruz. Ostatnio właściwie prawie cały czas się tak czułam. Jak obcy człowiek w moim życiu.

Minęłam wysokie łuki okien Biblioteki Hawthorne'a i Longfellowa i weszłam przez szklane, rozsuwane drzwi. Doug siedział na tym samym krześle co zawsze. Na mój widok zerwał się na równe nogi.

– Maggie! Co za niespodzianka! Co tu robisz? – Drgnął nagle i wiedziałam już, że sobie przypomniał. – Słyszałem o Allison. Boże, tak mi przykro. Co za tragedia.

– Dziękuję, Doug. Co tam u Betsy? Wciąż pracuje?

– W zeszłym roku przeszła na emeryturę. Doprowadza mnie teraz do szafu. Nic, tylko: „Gdzie dziś byłeś? O której wracasz do domu?”. Już o dziewiątej rano pyta, co chcę na kolację. O dziewiątej rano!

– To duża zmiana. Przyzwyczaj się. A ty? Już też czas, żebyś sobie odpuścił, prawda?

– Ja? Nigdy. Będę tu pracował do grobowej deski! – Walnął pięścią w stół dla podkreślenia tej obietnicy.

Przewróciłam oczami.

– Założę się, że za rok będziesz już w podróży dookoła świata. Będziecie sobie z Betsy sączyć koktajle, sunąc wycieczkowcem przez Pacyfik.

Pokręcił głową.

– Mowy nie ma. A ty co? Wpadłaś zobaczyć się z Barbarą? Weszła kilka minut temu. Wiesz, gdzie ją znaleźć, prawda?

Obiecałam jeszcze zajrzeć do niego, kiedy będę wychodzić, po czym ruszyłam w stronę biblioteki. Natychmiast uderzyły mnie zimna cisza oraz lekki zapach środka do czyszczenia wykładzin i starego papieru. Czytelnia była prawie pusta, tylko kilkoro studentów siedziało przy długich drewnianych stołach. Dotarłam cicho do biurka Barbary. Stalowosiwe włosy upięte miała na czubku głowy w kok, w który wbiła ołówek. Uniosłam dłoń w ramach powitania, a ona natychmiast wyskoczyła zza biurka i rzuciła się mnie ścisnąć.

– Tak się cieszę, że cię widzę – szepnęła. Jej głos poniósł się po sali i kilka osób podniosło głowę, żeby spojrzeć na nią groźnie. – Chodźmy do mojego biura.

Przewędrowałam za nią przez pomieszczenie dla obsługi i labirynt korytarzy, aż dotarłyśmy do zapchanego pokoju, w którym kiedyś razem urzędowałyśmy. Moje biurko zdążyło już zginąć pod stosami książek i papierzysk. Wiedziałam, że tak będzie. Barbara wskazała je dłonią, gdy siadałyśmy.

– Przepraszam za bałagan. Jak się czujesz?

Wzruszyłam ramionami.

– Tak, jak można się czuć w tych okolicznościach.

– Nawet nie będę ci zawracać głowy kondolencjami, ale

mam nadzieję, że wiesz, że sercem jestem z tobą. Mów, jak mogę ci pomóc.

– Próbuję tylko połączyć kilka rzeczy. Mogłabyś mi dać do dyspozycji komputer?

– Oczywiście. – Zaprowadziła mnie natychmiast do rzędu komputerów stojących z tyłu czytelnicy. – Gdybyś potrzebowała pomocy, mów, choć wiem, że sama sobie świetnie poradzisz – powiedziała jeszcze, a potem mnie tam zostawiła.

Jim wspomniał, że Allison miała jakieś kłopoty. Czy miał na myśli problemy z prawem? Kliknęłam na ikonkę PACER i wpisałam swoje dane, licząc na to, że mój identyfikator użytkownika jeszcze jest ważny. PACER to elektroniczna baza danych sądowych z całego kraju, więc jeśli Allison dopuściła się jakiegokolwiek przestępstwa, tu znajdę wszelkie informacje. Wrzuciłam jej imię i nazwisko do wyszukiwarki i komputer zaszumiał pracowicie.

Tylko jeden wynik. Kliknęłam dwa razy.

Sprawa numer 38-471

W SĄDZIE NAJWYŻSZYM STANU KALIFORNIA

OKRĘG SĄDOWY PALM SPRINGS

OŚWIADCZENIE POD PRZYSIĘGĄ ZŁOŻYŁ

funkcjonariusz policji

Powód: Stan Kalifornia

Pozwana: ALLISON CARPENTER

Sprawa numer 8YU-11-39GT

Ja, Jerome Ramsay, oświadczam, co następuje:

2 sierpnia 2016 roku około godziny 00.55 zostałem wysłany na 622 N Palm Canyon Drive w Palm Springs w związku ze zgłoszeniem nieostrożnej jazdy. Według informacji MATCOM na numer 911 zadzwoniła kobieta,

twierdząc, że niebieski mercedes klasy S jeździ chaotycznie między pasami. Kobieta ta poinformowała również, że za kierownicą siedzi kobieta, a na fotelu pasażera mężczyzna.

Na miejsce dotarłem o godzinie 1.03 i szybko zlokalizowałem pojazd, który poruszał się z prędkością o wiele niższą niż dopuszczalna i niezbornie zmieniał pasy. Zamrugalem na niego kilka razy, ale samochód nie zatrzymał się, przez co nastąpiła krótka pogoń, aż w końcu zobaczyłem, że pasażer przejmuje kierownicę i zjeżdża na pobocze. Kiedy podszedłem do samochodu, okazało się, że kierowcą jest dwudziestoparoletnia kobieta, która wyraźnie nadużyła alkoholu, a być może była także pod wpływem narkotyków. Kiedy poprosiłem ją o prawo jazdy i dowód rejestracyjny, podała mi prawo jazdy wydane w Kalifornii na nazwisko Allison Carpenter, 2799 Adrian Street, San Diego, Kalifornia. Samochód zarejestrowany był na pasażera, mężczyznę lat około sześćdziesięciu, pana Johna Dwyera, również mieszkańca San Diego. Pan Dwyer nie wydawał się pod wpływem narkotyków lub alkoholu.

Pani Carpenter odmówiła poddania się badaniu trzeźwości, więc aresztowałem ją jako podejrzaną o jazdę pod wpływem alkoholu i umieściłem w radiowozie. Pana Dwyera poinstruowałem, by jechał za nami we własnym samochodzie, ale nie pojawił się na komisariacie.

Pani Carpenter została zwolniona za kaucją tego samego dnia rano.

Jerome Ramsay, funkcjonariusz policji

Podpisano i potwierdzono pod przysięgą w Palm Springs,
Kalifornia, 3 sierpnia 2016 roku

Przesunęłam myszką po reszcie dokumentów, ale albo zostały zastrzeżone, albo zaczerwieniły. Dowiedziałam się tylko tyle, że odstąpiono od postawienia zarzutów Allison i sprawę umorzono.

Co ona, na litość boską, wyprawiała? Dlaczego jechała w takim stanie z mężczyzną w moim wieku? Nie rozumiałam też, jak udało jej się z tego wywinąć. Z raportu policjanta wynikało przecież, że sprawa jest oczywista.

Odchyliłam się na krześle. *Mój Boże, Ally* – przemknęło mi przez głowę. – *Coś ty sobie w ogóle myślała?*

– Przepraszam.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam nad sobą mężczyznę z gęstą siwą czupryną oraz małymi, okrągłymi okularami.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy pani tu może kiedyś pracowała?

– Owszem. – Minęły cztery lata, odkąd przeszłam na emeryturę. Zdziwiło mnie, że w ogóle ktoś mnie jeszcze pamięta.

– Tak mi się zdawało, że skądś panią znam. Przepraszam, nie pamiętam pani imienia...

– Maggie – odpowiedziałam mu.

– Maggie, oczywiście. – Uśmiechnął się i kąciki jego oczu się zmarszczyły. Wyglądał na miłego człowieka. – Ja jestem Tony. Miło znów panią widzieć.

– I nawzajem – powiedziałam, chociaż za nic nie mogłam sobie go przypomnieć. Z drugiej strony przez tę bibliotekę przewinęło się tylu ludzi, kiedy tu pracowałam, że nie sposób było ich wszystkich pamiętać.

– Pozwoli pani? – rzekł i nie czekając na odpowiedź, usiadł na krześle obok. – Kolana – dodał z przeproszającym uśmiechem. – Ostatnimi czasy za wiele nie wytrzymują. Posiedzę godzinę czy dwie i już dłużej nie mogę.

Przypomniały mi się te dziwne dolegliwości, które miałam po przebudzeniu; tępy ból w biodrze, jeśli za długo sie-

działam; chrzesczenie kostki, kiedy chodziłam. Pochylił się w moją stronę i położył dłonie na udach.

– I cóż panią sprowadza z powrotem do Bowdoin?

Otaksowałam go wzrokiem. Wyglądał na przyjemnego człowieka, a jednak nie podobało mi się to, że przysiadł się tak bez zaproszenia i zadawał mi osobiste pytania. Wyprostowałam się.

– Zepsuł mi się komputer w domu – skłamałam. – Pomyślałam, że póki jest w naprawie, skorzystam z bibliotecznego. – Zapadła cisza i po chwili zorientowałam się, że czeka, aż zadam mu podobne pytanie. – A pan? – bąknęłam niechętnie. – Jest pan tu profesorem czy...?

– Ja? O, nie! – Zaśmiał się głośniej, niż wypada w czytelnicy. – Nie, nie, jestem tylko jednym z tych żalonych emerytów, którzy wykorzystują swoje zniżki, żeby pochodzić na jakieś zajęcia.

– To miło. – Widziałam już takich na tyle dużo, by wiedzieć, że mam przed sobą rozwodnika albo wdowca. Żonaci mężczyźni nie chodzą na żadne zajęcia. Ich żony, owszem, żeby od nich uciec, ale żonaci mężczyźni zwykle siedzą w domu.

Wzruszył ramionami.

– Zawsze to jakiś sposób na zabicie czasu. Właśnie przerabiam historię sztuki i literaturę francuską. Łatwo nie jest. W przyszłym semestrze zacznę archeologię.

– Bardzo ambitnie. – Odwróciłam się do ekranu z nadzieją, że zrozumie i sobie pójdzie.

Poczułam, że się waha. Kątem oka widziałam, że otwiera usta, i już czekałam na następne pytanie, ale je zamknął i wstał.

– Cóż – powiedział. – Zostawię panią w spokoju. Chciałem się tylko przywitać. Zawsze żałowałem, że nie przedstawiłem się, kiedy jeszcze tu pani była, a potem nagle pani zniknęła i straciłem szansę. Ale oto pani wróciła.

Uniosłam ręce.

– Oto wróciłam.

Pomachał mi jeszcze i wrócił do siebie. Pożałowałam nagle, że tak obcesowo go potraktowałam. Pewnie był po prostu samotnym człowiekiem, który miał ochotę z kimś porozmawiać. Pewnie był nieszkodliwy. Zerknęłam w stronę jego biurka – Proust, Berger, Maupassant. To dopiero sposób, żeby spędzić lato. Powinnam była być miłsza.

Odepchnęłam te myśli i skupiłam się znów na ekranie. Miałam przecież zadanie do wykonania. Znalazłam wyszukiwarkę NTSB, czyli Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu, wpisałam dane wypadku Ally i wcisnęłam przycisk „Szukaj”.

Numer identyfikacyjny NTSB: CEN36FA455

14. CFR sekcja 91.: Lotnictwo ogólne

Data wypadku: niedziela, 8 lipca 2018, Electric Peak, Kolorado

Samolot: MOONEY OVATION 3

Poszkodowani. 2 ofiary śmiertelne

Poniższe informacje należy traktować jako wstępne, podlegające zmianom i mogące zawierać błędy. Wszelkie błędy w niniejszym raporcie zostaną poprawione podczas sporządzania ostatecznego raportu. Pracownicy NTSB albo udali się na miejsce wypadku, albo przeprowadzili obszerną analizę sytuacji bez podróżowania na miejsce wypadku, korzystając z danych pochodzących z różnych źródeł, żeby sporządzić raport na temat tego wypadku lotniczego.

8 lipca 2018 roku około godziny 17.00 czasu górskiego samolot Mooney Ovation 3, N65EF, uległ zniszczeniu przez rozbicie i będący skutkiem uderzenia pożar. Podejrzewa się, że w okolicy góry Boreas w Ko-

lorado nastąpiła utrata kontroli nad maszyną. Samolot był zarejestrowany na osobę prywatną, która w chwili wypadku kierowała nim zgodnie z postanowieniami paragrafu 14. Kodeksu Przepisów Federalnych (CFR), sekcja 91., dotyczącymi lotów osobistych. Samolot wystartował z lotniska Chicago Midway International (MDW) i prawdopodobnie kierował się w stronę lotniska Montgomery Field w San Diego w Kalifornii (MYF), skąd wyleciał uprzednio w piątek 6 lipca 2018, choć nie złożono planu lotu. Pilot i pasażer odnieśli rany śmiertelne.

Pierwsze uderzenie nastąpiło około trzech metrów na południe od głównego wraku. Znalaziono tam podwozie przednie maszyny. Z pozycji samolotu i punktu uderzenia można wnioskować, że w momencie uderzenia samolot leciał w kierunku wschodnim. Cały samolot został niemal doszczętnie zniszczony w pożarze, który nastąpił w wyniku uderzenia, co znacząco utrudnia odzyskanie czegokolwiek z miejsca wypadku. Udało się odnaleźć szczątki pilota, a rodzina potwierdziła jego tożsamość. W chwili sporządzania niniejszego raportu nie dysponujemy informacjami na temat zwłok pasażera. Wypadek był jednak na tyle poważny, a stan wraku tak zły, że śmierć pasażera jest pewna. Przypuszcza się, że jego ciało zostało wyrzucone z samolotu pod wpływem uderzenia, ale trudne warunki uniemożliwiają pełną analizę sytuacji. Nie znaleziono usterek silnika ani jego części, lecz pożar uniemożliwił pełne przebadanie i przetestowanie elementów składowych napędu. Istnieją poszlaki sugerujące czyjaś obecność na miejscu wypadku, zanim dotarli tam pracownicy NTSB, ale wydaje się, że były to miejscowe dzikie zwierzęta.

O godzinie 16.00 czasu górskiego lokalna obserwacja pogody dla góry Boreas była następująca: kierunek wiatru 340°; prędkość wiatru 9 węzłów; widoczność 15 kilometrów; niebo czyste; temperatura 22°C; punkt rosy -4°C; odczyt wysokościomierza 1023,03 hPa. Nie przypuszcza się, żeby pogoda mogła być czynnikiem, który doprowadził do wypadku.

Na miejscu wypadku znaleziono telefon marki iPhone z aplikacją ForeFlight. Telefon ten został wysłany do laboratorium NTSB do dalszej analizy.

Odsunęłam się od ekranu. A więc znaleźli zwłoki Bena. Shannon i Jim z pewnością o tym wiedzieli, tylko postanowili mi na razie nie mówić. Pewnie, żeby nie robić mi nadziei. Z raportu wynikało jasno, że NTSB zakłada, iż Ally nie żyje, chociaż nie znaleziono jej ciała. Znów przeczytałam ten fragment. „Wyrzucone z samolotu pod wpływem uderzenia”. „Dzikie zwierzęta”. Nie chciałam sobie tego wyobrażać, ale oczywiście te obrazy same stanęły mi przed oczami – jeden po drugim. „Śmierć pasażera jest pewna”. Wpatrywałam się w te słowa, aż zaczęły mi się zamazywać przed oczami.

A naszyjnik? Przecież go znaleźli. Jakim cudem znaleźli naszyjnik, ale nie ją?

Skoro znaleźli jego ciało, to jego rodzice już wiedzą. Państwo Gardnerowie. Czy spędzali dużo czasu z Ally? Czy dobrze ją znali? Muszę z nimi porozmawiać. Muszę dowiedzieć się, co wiedzą.

Wstałam za szybko i pokój zawirował.

– Maggie? Nic ci nie jest?

Podniosłam wzrok. To Tony spoglądał na mnie zza swojego biurka. Minę miał zatroskaną. Pomachałam do niego uspokajająco i zaczęłam zbierać swoje rzeczy.

Zieleń trawnika była zamazana. Tyle dzieciaków – siedzą-

cych na trawie, spacerujących dwójkami, głowy pochylone, paplające, roześmiane. Boże, jacy oni wszyscy młodzi. Czy wszyscy oni ukrywają swe prawdziwe życie przed rodzicami? Czy jeżdżą do domu na ferie, siedzą przy stole, jedzą posiłki, które ugotowały im matki, śmieją się z dowcipów ojców, a tymczasem cały czas skrywają swoje tajemnice?

W chacie zrobiło się ciemno. Dwaj mężczyźni podnieśli wzrok i zobaczyli, że ktoś stoi w drzwiach. Jego wielkie ciało blokowało promienie słoneczne. Wyczuł smród ich strachu, zanim w ogóle przekroczył próg.

– To wasza rudera?

– Nie pańska sprawa.

– Zadam to pytanie jeszcze tylko raz.

Gapili się na Mężczyznę. Nie uszło jego uwagi, że temu niższemu zaczęły się trząść ręce.

– No, nasza.

Kłamali, ale było mu wszystko jedno. Nie jego sprawa.

– Widzieliście tu ostatnio kogoś? Kobiętę?

Mały uśmiechnął się, ukazując rząd zepsutych, żółtych zębów. Mężczyzna odwrócił wzrok. Nie znosił braku higieny.

– No ba. Całe stadko supermodelek. Właśnie je pan przegapił.

Duży milczał. W jednej dłoni trzymał puszkę z fasolą, w drugiej widelec i aż do tej chwili był skupiony na posiłku. Teraz jednak spiorunował małego wzrokiem.

– Zamknij się, Bill.

Mężczyzna zrobił krok w ich stronę i zauważył, że mały drgnął. Mały pies dużo szczeka – pomyślał.

– *Postuchaj rady przyjaciela, Bill. Pytam jeszcze raz: wdziedzieliście tu jakąś kobietę?*

Duży włożył widelec do puszki, odstawił ją na podłogę i wstał. Mężczyzna zrobił kolejny krok.

– *Siadaj – rozkazał.*

Duży uniósł ręce.

– *Nie chcę żadnych kłopotów.*

– *To siadaj.*

Duży podniósł swoją puszkę fasoli i usiadł.

– *Ktoś tu był. Nie wiem, czy kobieta, czy mężczyzna, ale zniknęło nam parę rzeczy.*

Mężczyzna nawet nie mrugnął.

– *Jakie rzeczy?*

– *Puszki z żarciem. Mały nóż myśliwski. Nic takiego.*

Mały poruszył się na krześle i wydał jakiś dźwięk. Ni to śmiech, ni to stęknienie. Mężczyzna skupił na nim wzrok.

– *Masz coś do powiedzenia?*

– *Ten skurwysyn zabrał moją strzelbę.*

Duży zastonił sobie oczy dłonią.

– *Bill – jęknął.*

Mężczyzna znów spojrzał na dużego.

– *Dlaczego nie chciałeś powiedzieć mi o strzelbie?*

Duży wzruszył ramionami, ale Mężczyzna widział, że już się poci.

– *Nie pańska strzelba, to co panu do tego.*

Mężczyzna zrobił kolejny krok w jego stronę i pochylił się tak, że miał teraz oczy na poziomie oczu dużego. Czuł smród fasoli w jego oddechu. I jeszcze coś kwaśnego, jakby drożdżowego.

– *Nie będziesz mi mówił, o co mogę pytać, a o co nie.*

Cisza. Duży przymknął oczy.

– *Na podłodze było kilka włosów. Długich. Zauważyłem je, kiedy sprzątaaliśmy ten bałagan.*

– Jakiego koloru?

– Żółtego.

– Znaczy: blond?

Mały zachichotał nerwowo. Mężczyzna zacisnął pięść.

– Tak, blond.

– Coś jeszcze?

Obaj pokręcili głowami. Mężczyzna wyobraził sobie, jak i dźwięk wydałyby ich czaszki, gdyby o siebie uderzyły. Kość o kość.

– Chyba nie.

Mężczyzna się wyprostował. Duży odetchnął z ulgą.

– Jeśli jeszcze coś sobie przypomnicie, zadzwońcie do mnie.

Podał im wizytówkę. Grubymi czarnymi cyframi wydrukowany był na niej jakiś numer.

Mały wziął ją do ręki, przeczytał i zmarszczył brwi.

– Tu nie ma żadnego nazwiska. Jak mamy pana nazywać?

Mężczyzna wyciągnął rękę i chwycił małego za szyję. Wystarczy ścisnąć – pomyślał. – Ścisnąć i będzie po wszystkim. Ale wtedy musiałby jeszcze zająć się dużym, a potem trzeba by po sobie posprzątać. A szef powiedział, że nie chce żadnego bałaganu. Puścił. Mały zaczął masować gardło.

– Nijak. W ogóle nie musicie mnie nazywać.

Odwrócił się i wyszedł, a chatkę znów wypełniło słońce, oślepiając tych dwóch, którzy w niej zostali.

Allison

Ściągam buty i ostrożnie wsuwam palce do jeziora. Woda jest zimna, ale tego właśnie mi trzeba.

Zdejmuję ubranie i rzucam je na brzeg. Wiatr targa włoski na moim karku, udach i łydkach. Dziwnie stać tak nago na dworze. Zakrywam piersi, nagle skrępowana.

Brodzę między wysoką trzciną, czuję, jak mnie łaskocze, a potem biorę głęboki wdech i nurkuję.

Jest tak zimno, że zapiera mi dech w piersiach. Wypływam na powierzchnię, krztusząc się i oddychając nierówno, aż w końcu ciało przyzwyczaja się do temperatury. Zanurzam głowę i próbuję przeczesać włosy palcami, ale utykają w kołtunach. Mimo to dobrze jest być w wodzie. Odchylam głowę do tyłu i chowam się pod powierzchnię.

Filizanki grzechotały cicho o spodki, gdy pokojówka stawiała je na stole.

– Słodzisz? – spytała Amanda, ale już wsypywała mi cukier do filizanki i mieszała małą srebrną łyżeczką.

– Tak, poproszę.

Upiłam łyk i zdusiłam obrzydzenie. Kawa była słaba i nieznacznie słodka. Nigdy takiej nie piłam. Przypomniałam sobie

ekspres do kawy w kuchni mojej matki. Całe łyżki stołowe mielonej kawy wsypywane do filtra, kapanie kawy z maszyny, jej aromat w powietrzu. Upijam kolejny łyk i odstawiam filiżankę na spodek. Przyzwyczaję się do tego smaku. Tak jak do wszystkiego.

– Jak tam plany ślubne? – spytała, po czym, nie czekając na odpowiedź, sięgnęła po oprawiony w skórę kalendarz. – Rozmawiałam z ludźmi z Torrey Pines – oświadczyła, kartkując go. – Mają wolny termin siedemnastego, więc powiedziałam im, żeby go dla nas zarezerwowali. – Posłała nam promienny uśmiech. – Oczywiście to wasza decyzja. Nie chcę się w nic wtrącać.

Poczułam narastającą panikę. W ogóle nie rozmawialiśmy jeszcze z Benem o miejscu. Właściwie to o niczym jeszcze nie rozmawialiśmy poza czczym fantazjowaniem o tym, żeby uciec na tropikalną wyspę. Teraz dopiero zdałam sobie sprawę z mojej naiwności. Ten ślub będzie należał do Amandy. Wierzyć mi się nie chciało, że mogłam się łudzić, iż będzie inaczej.

– To na pewno idealny wybór, mamó. – Ben podchwycił moje spojrzenie i puścił do mnie oko, a ja poczułam, że nerwy ustępują. Ślub nie jest taki ważny. Niech Amanda go sobie planuje, co mnie to obchodzi. Ja mam jego.

Wszedł David z gazetą pod pachą i siadł do stołu.

– Przepraszam za spóźnienie. – Upił łyk kawy z filiżanki, którą podała mu Amanda, i zmarszczył czoło. – Dlaczego, do cholery, nikt w tym domu nie potrafi zaparzyć porządnej kawy?

– Właśnie planujemy ślub – odezwała się Amanda. – Zdecydowaliśmy się na Torrey Pines.

– Świetnie – odpowiedział David, w ogóle jej nie słuchając. – Ben, pozwól na słówko.

Patrzyliśmy z Amandą, jak wychodzą z pokoju, po czym uśmiechnęliśmy się do siebie uprzejmie.

– Myślałaś już o sukni? W Sabre Springs jest fantastyczna kobieta, która projektuje niesamowite wprost suknie...

Słyszałam ich głosy w pokoju obok. Amanda cały czas mówiła. Padały nazwy najlepszych kwiaciarni, najlepszego cateringu i doradców planujących śluby. Kiwałam głową, praktycznie jej nie słuchając. Głosy w pokoju obok stawały się głośniejsze, już sobie odpuścili intonację opadającą. To była kłótnia. Usiłowałam wychwycić jakieś słowa, ale ginęły między sklepieniem a grubymi ścianami domu. Zgodziłam się na żeberka jagnięce jako danie główne i potwierdziłam, że figi owinięte w *prosciutto* będą idealną przystawką. Rozległ się huk pięści uderzającej w stół i obie podskoczyłyśmy.

Drzwi się otworzyły. Z pokoju wyszedł Ben i usiadł obok nas. Widziałam malutkie krople potu tuż pod jego włosami. Drgał mu mięsień szczęki. Jego ojciec nie przyszedł.

– A więc? – zagał Ben, uśmiechając się nieszczerze. – Zaplanowałyście już cały ślub, gdy mnie nie było?

– Prawie! – zaszcebiotała Amanda. – Allison będzie taką piękną panną młodą, prawda?

Ben ujął moją rękę.

– O tak. – Jego lepka od potu dłoń zacisnęła się nieco za mocno na moich palcach. – Będzie olśniewająca.

W drodze do domu próbowałam podpytać go o tę rozmowę z ojcem, ale zbył mnie.

– To nic takiego – rzucił, muskając mój policzek kciukiem. – Takie tam rodzinne sprawy.

Ale widziałam, że znów mu drgnął mięsień szczęki.

Zadrapania na całym ciele pieką. Trę, żeby zmyć jakoś brud z ramion, goleni i spomiędzy palców. Szoruję skórę dłonią, drapię resztkami paznokci, ale brud nie chce zejść. Przydałoby się mydło albo ciepły prysznic, a najlepiej jedno i dru-

gie. W końcu się poddaję. Znikam pod wodą, otwieram oczy i widzę błotnistą zielen. Nade mną słaby blask promieni słonecznych.

Myślę o tych długich godzinach, gdy robiłam się na bóstwo. Manicure, pedicure, ścinanie, suszenie, laserowe usuwanie włosów, zabiegi odmładzające. Folie, parówki i detoksy sokami. Chciałam, żeby się mną zachwycano, podziwiano mnie i rozpieszczano – niczym małego kota albo błyskotkę na sklepowej wystawie. Chciałam, żeby wszyscy na mnie patrzyli, i zwykle rzeczywiście patrzyli. Czasem nawet za dużo.

A teraz jestem brudna, pokryta ukąszeniami, zadrapaniami i ranami. Nie do poznania. Czuję się tak, jakbym zrzuciła kolejną warstwę skóry. Jakby pod nią ukazywało się nowe ciało. Będę nową osobą. Kimś zupełnie innym.

Patrzę w niebo na płynące nade mną chmury. Świat jest taki duży, że niemal potrafię zapomnieć o tym, dlaczego tu wyładowałam – o chwili, która strzaskała mój idealny, zamknięty w szkle świat i pchnęła mnie na stos ostrych odłamków.

Niemal, a jednak nie do końca.

Allison

Szperam w torbie. Nie zostało mi już wiele z zapasów z chaty – puszka zupy i trochę krakersów. Bezlitosny głód. Wbijam tępy nóż w puszkę i piję. Postrzępiony metal rozcina mi wargę i smak krwi miesza się ze smakiem zupy literkowej. Uwielbiałam ją, kiedy byłam mała.

– Allison!

Sposób, w jaki ten mężczyzna mnie zawołał, wywołał natychmiastowy skurcz żołądka. Już kiedy mijałam go na ulicy, zauważyłam, że się na mnie gapi, ale nie zastanawiałam się nad tym specjalnie. Mężczyźni zawsze się na mnie gapili. Jak każda kobieta, gdy tylko wychodziłam z domu, stawałam się wspólną własnością. Wszystkie szybko się do tego przyzwyczajamy, uczymy się przybierać odpowiedni wyraz twarzy, unikać kontaktu wzrokowego, iść dalej. On jednak zawołał mnie po imieniu.

Teraz szedł za mną po chodniku. Usłyszałam, że przyspiesza, więc też przyspieszyłam. Zaciśnęłam palce na pasku torbki i zaczęłam układać w głowie plan. Kilka budynków dalej był sklep. Wbiegnę do środka i poproszę o pomoc.

Jego dłoń zaciśnęła się na moim łokciu.

– Allison, proszę! Chcę tylko porozmawiać.

Wyrwałam mu się i odwróciłam gotowa do walki. Był biały dzień. Przecież ktoś nas zobaczy, nim zrobi się naprawdę źle. Ktoś się wtrąci.

Przede mną stał mężczyzna o twarzy człowieka przegranego, takiego, którego życie pełne jest rozczarowań. Oczy miał szeroko osadzone i lekko kaprawe, jakby trawiła go gorączka, a czuprynę siwą i potarganą. Nigdy przedtem go nie widziałam. Nie wyglądał na groźnego, ale nie byłam głupia. Wiedziałam, że ludzie są zdolni do wszystkiego.

– Nie dotykaj mnie – syknęłam lodowatym tonem.

– Przepraszam. – Odsunął się o parę kroków i uniośł dłonie. – Nie chciałem cię przestraszyć.

– Nie przestraszyłeś mnie. – Zasada numer jeden: nigdy nie okazuj strachu. – Skąd znasz moje imię?

Kąćki jego ust uniosły się w ostrożnym uśmiechu.

– Już od jakiegoś czasu próbuję się z tobą skontaktować. Zmrużyłam podejrzliwie oczy.

– To ty wysyłasz mi te listy. – Bo po tamtym pojawił się następny i kolejny. Ludzie, którzy mi je podawali, nigdy nie wiedzieli, skąd się wzięły. Zupełnie jakby koperty materializowały się jakimś magicznym sposobem. Ale oto stał przede mną. Człowiek z krwi i kości. – Czego chcesz?

Pokazał uniesione dłonie, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że nie ma broni.

– Naprawdę chcę tylko porozmawiać.

Skrzyżowałam ręce na piersi.

– A jeśli ja nie chcę rozmawiać?

Zrobił niepewny krok w moją stronę.

– Nie chciałem tego robić – szepnął.

Cofnęłam się.

– Czego?

Bawił się nerwowo rąbkiem koszuli.

– Wiem o twojej przejażdżce w Palm Springs.

Lodowaty strach.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Lśniąca, czarna taśma autostrady. Niebieskie światła migające we wstecznym lusterku. Zrobiło mi się słabo.

Mężczyzna przyglądał się uważnie mojej twarzy.

– Twój narzeczony o tym nie wie, prawda?

Milczałam.

– Nie wie o wielu rzeczach.

Była to groźba, choć powiedział ją niemal czułym tonem, a w jego oczach zobaczyłam coś jakby współczucie.

Poszliśmy do kawiarni obok. Było południe i w środku tłoczyli się ludzie spragnieni kofeiny oraz tacy, którzy chcieli znaleźć gdzieś miejsce, żeby przysiąść z laptopem. Staralam się nikomu nie patrzeć w oczy, kiedy podeszłam złożyć zamówienie. Miałam wrażenie, że cała sala na mnie patrzy. *Wiedzą* – pomyślałam. – *Wszyscy już wiedzą*.

Usiedliśmy przy stoliku w kącie i milczeliśmy, póki kelnerka nie przyniosła nam zamówienia. Mężczyzna rozerwał trzy paczki cukru i wsypał ich zawartość do kawy.

– Mam słabość do słodkiego – powiedział z przeproszającym uśmiechem, a ja musiałam schować ręce pod stół, żeby nie strzelić go w gębę.

Patrzyłam, jak powoli miesza kawę, upija łyk, dolewa mleka, znów pije. Cały ten czas skrzydła paniki rozkładały się szerzej, rozpychały się w moim gardle. Ten mężczyzna – ten stary, beznadziejny facet – zamierza mi wszystko odebrać. Ale jego to nie obchodziło, był skupiony na swojej kawie. Znienawidziłam go. W końcu nie wytrzymałam.

– Kim jesteś? – spytałam.

Stuknął łyżeczką o kubek i odłożył ją na spodek.

– To nie ma znaczenia.

A zatem on znał mnie, ale ja nie mogłam znać jego. I to

mimo, że wiedział o mnie rzeczy, które mogą mi odebrać ukochanego mężczyznę, rzeczy, które mogą zniszczyć życie, jakie sobie stworzyłam.

– Słuchaj – odezwałam się; było mi gorąco i byłam na granicy łez – nie wiem, co o mnie wiesz, ale...

Uniósł dłoń, żeby mnie powstrzymać.

– Spokojnie. Nie interesuje mnie, co robiłaś w barze ani z jakim towarzystwem się trzymałaś.

Patrzyłam na niego zdezorientowana.

– Nie?

Pokręcił głową.

– To dlaczego...?

Przechylił głowę na bok i uśmiechnął się.

– Potrzebowałam tylko sposobu, żeby cię namówić na tę rozmowę. Żebyś mnie wysłuchała.

Odchyliłam się na krzesło.

– Nie zamierzasz powiedzieć Benowi o mojej przeszłości?

Pokręcił głową.

– Choć chciałbym go zniszczyć, to nie w ten sposób. Nie, nie powiem mu. Nie zdradzę twoich sekretów.

Powinno mi ulżyć, ale nadal czułam kwaśny smak strachu. Ten mężczyzna czegoś ode mnie chciał. I wiedziałam intuicyjnie, że jest to coś, czego nie będę mu chciała dać. Miałam ochotę odsunąć się od stołu i uciec jak najszybciej. Rozumiałam jednak, że to nic nie da. Już pokazał, że ma swoje sposoby, żeby mnie znaleźć, a następnym razem może nie być wobec mnie taki uprzejmy.

– Czego chcesz? – spytałam cicho.

Pił kawę, spoglądając na mnie znad krawędzi kubka.

– Co wiesz o firmie narzeczonego?

Prychnęłam śmiechem. Ten dźwięk zaskoczył nas oboje.

– O Prexilane? – Pokręciłam głową. – Nie mam z nią nic wspólnego.

Cierpliwie pokiwał głową.

– Tak, wiem. Nie o to pytam. Pytam, ile o niej wiesz.

Pomyślałam o tych wieczorach, kiedy Ben wracał do domu późno, wykończony, ale szczęśliwy, że znów nastąpił jakiś przełom w laboratorium. O tym, jak bardzo chciał pomagać ludziom, leczył ich.

– Wiem, że produkuje leki, które ratują ludziom życie.

Facet uśmiechnął się ze smutkiem.

– Doprawdy? – Znów wypił trochę kawy. – Znasz może pojęcie „wybiórczo nieprawidłowe raportowanie danych”? – A kiedy pokręciłam głowę, dodał: – A „błąd doboru”?

Poczułam rosnącą we mnie złość.

– Co to w ogóle ma do rzeczy?

Wróciło przemożne pragnienie, żeby wybiec z kawiarni.

– A gdybym powiedział ci, że Prexilane manipuluje własnymi badaniami klinicznymi i że w wyniku tych oszustw ludziom dzieje się krzywda? Że są ofiary śmiertelne?

Drgnęłam.

– Ben nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Jemu zależy na ludziach. Chce pomagać chorym.

Teraz to on parsknął śmiechem.

– Zależy to jemu tylko na jednym: na pieniądzach. Tak jak im wszystkim.

– Nie. – Złość w moim głosie zaskoczyła nas oboje. – Mylisz się.

Byłam gotowa znieść wszelkie zniewagi z jego ust – zasłużyłam sobie na to, by zmieszał mnie z błotem. Ale na pewno nie zamierzałam mu pozwolić źle mówić o Benie. Ben to do bry człowiek.

Facet westchnął.

– Firmy farmaceutyczne robią takie rzeczy od lat. Weźmy choćby opioidy. Myślisz, że dopuszczono je do sprzedaży na podstawie uczciwych badań? – Pokręcił głowę. – Wszyscy

w tym tkwią. Pojęcia nie masz, jakie skutki uboczne mają niektóre z tych leków.

– Każdy lek ma jakieś skutki uboczne – zauważyłam. – Nie widziałeś reklam? Połowę każdej z nich zajmuje zawsze wyliczenie skutków ubocznych. – Głos mi się trząsał i musiałam bardzo się starać, żeby nad sobą panować.

Popatrzył na mnie z litością, jakbym była małą, głupią dziewczynką, która nie ma pojęcia o świecie.

– To tylko te skutki uboczne, o których chcą mówić klientom.

Przewróciłam oczami.

– Kontrolą leków zajmuje się Agencja Żywności i Leków. Każdy lek przechodzi próby kliniczne i dogłębne badania... – Urwałam, bo nie bardzo się na tym znałam i właściwie tylko powtarzałam zasłyszane słowa. – Istnieją na to odpowiednie procedury – dodałam z udawaną pewnością.

Uśmiechnął się kpiąco.

– Taa, jasne, że są procedury. Ale za odpowiednie pieniądze wszystko da się załatwić. Myślisz, że Agencja Żywności i Leków nie zniża się do przyjmowania łapówek?

Nie mogłam go znieść. Zachowywał się jak ci wszyscy wymądrzający się mężczyźni, których tylu spotkałam w życiu. Były ich całe setki, a każdy z wielką chęcią klepał mnie uspokajająco po ramieniu i mówił, żebym nie zawracała sobie tym mojej ślicznej główki. Tylko tym razem było jeszcze gorzej. Bo ten człowiek próbował mi wmówić, że nie znam mężczyzny, którego kocham. Na to nie zamierzałam mu pozwolić.

– Nie wiem, o czym ty w ogóle mówisz. Chyba oszalałaś – syknęłam.

Uderzył dłonią w stół. Mocno. W kawiarni zapadła cisza. Rozpłakało się jakieś niemowlę.

– Nie wyzywaj mnie od szaleńców. – Jego oczy błyszczały jak w gorączce. – Nie oszalałam.

Odsunęłam krzesło i wstałam. Teraz już naprawdę mnie przerażał, ale nie chciałam, żeby się tego domyślił. Nie chciałam dać mu tej satysfakcji.

– Wychodzę – powiedziałam, zarzucając torbę na ramię. – Nigdy więcej się ze mną nie kontaktuj.

Podniósł oczy, wbił we mnie wzrok.

– Twój narzeczony zabija ludzi – powiedział cicho. – On i jego podwładni niszczą ludziom życie, żeby to ukryć. Nic cię to nie obchodzi?

– Kłamiesz – wycedziłam.

A jednak zasiał ziarno zwątpienia. Przypomniałam sobie te szeptu Bena z Samem. To, jak Ben budził się w środku nocy zlany potem. Ponure nastroje, w jakich czasem wracał z pracy i jeszcze przez wiele godzin nie mógł się z nich otrząsnąć. Serce waliło mi w piersi, w głowie mi się kręciło. Musiałam się natychmiast wydostać z tej kawiarni. Brakowało mi powietrza.

Przepchałam się między ludźmi, wybiegłam na zalaną słońcem ulicę i popędziłam przed siebie. Mężczyzna z kawiarni to jakiś obłąkaniec, szaleniec. Już nigdy nie chciałam go widzieć.

Allison

Wszystko dzieje się tak szybko. Najpierw jestem jedyną drobiną na długiej wstędze asfaltu, a potem nagle ten TIR tuż przy moim prawym zderzaku i jakiś sportowy samochód pędzący zaraz za mną.

To w zasadzie powinien być łatwy manewr: po prostu zjechać na środkowy pas, żeby przepuścić sportowy samochód. Włączam kierunkowskaz i oglądam się przez ramię, żeby sprawdzić, czy mam wolny pas, ale zamiast mnie puścić, TIR przyspiesza. Jestem zablokowana.

Natychmiast wraca panika. To on. To na pewno on.

Wciskam gaz. Subaru aż jęczy, ale gna do przodu. Patrzę, jak podnosi się wskazówka prędkościomierza. Sto dziesięć. Sto dwadzieścia. Sto trzydzieści. Spoglądam w prawo i widzę, że TIR utrzymuje moje tempo. Próbuję zajrzeć do kabiny, może spojrzeć kierowcy w oczy, ale ciężarówka jest zbyt wysoka. Jego twarz znajduje się w cieniu i widzę tylko daszek czapki bejsbolowej. Zerkam we wsteczne lusterko.

Sportowy samochód jest ledwie parę metrów za mną, widzę nawet znaczek mercedesa na masce. Jeśli dam teraz po hamulcach, uderzy we mnie, tak że wylecę z drogi albo wpadnę pod koła TIR-a. Mruga światłami, żebym mu ustąpiła. Jadę już sto trzydzieści pięć kilometrów na godzinę, ale TIR nie

odpuszcza, wciąż blokując mi pas. Czuję, jak ogromna ciężarówka przyciąga mój samochód, więc mocniej zaciskam palce na kierownicy.

Pochyliam się do przodu i wyginam szyję w stronę kierowcy TIR-a. *Spójrz na mnie* – zaklinam go. – *Spójrz tutaj!* Ale widzę tylko jego szczękę i daszek czapki. Wzrok ma utkwiony w drodze.

Sto sześćdziesiąt. Samochód zaczyna się trząść. Wpatruję się we wsteczne lusterko. Całe już wypełnione jest przodem sportowego samochodu, który nie zostawia ani skrawka miejsca na słońce, niebo i drogę za nim. Kierowca jest sam, dłonie w rękawiczkach trzymają mocno kierownicę, oczy zasłonięte ma ciemnymi okularami, usta zaciśnięte. Znów mruga na mnie światłami i jeszcze daje mi znak ręką.

Sto siedemdziesiąt pięć. Znak ostrzegający przed łukiem drogi. Mnie już z trudem udaje się jechać po prostej, w życiu nie dam rady wejść w zakręt. Widzę, że długi, czarny strumień asfaltu zagina się lekko, przekręcam więc kierownicę, czując, jak samochód trze po jezdni. Widzę dół drzwi ciężarówki. Pomalowane są na niebiesko, z lekkim metalicznym połyskiem. Im głębiej wchodzę w zakręt, tym bardziej TIR przyciąga subaru. To już kwestia centymetrów.

„Trzeba go było zdrapywać z asfaltu. – Tak mówił wujek Jim, kiedy był jakiś poważny wypadek. – Została po nim mokra plama”.

Przede mną mruga jakiś znak. ZA 250 METRÓW ZJEDŹ W PRAWO. Pomarańczowe trójkąty wskazują drogę. ROBOTY DROGOWE – wrzeszczy kolejny znak, ale nie widzę żadnych robót, tylko elegancką linię betonowych barierek na wprost mnie.

Na moim karku wykwita zimny pot. Spinam się na myśl o zgrzycie metalu trącego o metal, o huku szkła, locie w powietrzu. O tarcu ciałem o ten betonowy papier ścierny.

O pękaniu kości. O krwi rozlewającej się na asfalcie, gęstej i zbyt czerwonej, jej metalicznym zapachu mieszającym się ze smrodem benzyny i swędem spalenizny.

Umrę. Czuję dziwny spokój, jakby wszystko, co dotąd robiłam, prowadziło właśnie do tej chwili – jakbym już od urodzenia wiedziała, że tak opuszczę ten świat.

A potem nagle wszystko mija. TIR zjeżdża raptownie, sportowy samochód wypada przed ciężarówkę i pędzi przed siebie, trąbiąc dziko. Zdejmuję nogę z gazu i zjeżdżam na prawy pas, w ostatniej chwili wymijając znak nakazujący zjazd. Sto trzydzieści pięć. Sto trzydzieści. Sto dwadzieścia. Sto dziesięć. Wchodzę w zakręt i wypadam na kolejną prostą. Droga jest pusta. Sprawdzam we wstecznym lusterku i widzę, że TIR zjeżdża z drogi. Przede mną rozciąga się nagi asfalt. Drugiego samochodu w ogóle już nie widać.

Czuję w ustach metaliczny smak i uświadamiam sobie, że tak mocno przygryzłam policzek, że poleciała krew. Staram się nie myśleć o tym, jak bardzo trzęsą mi się ręce na kierownicy.

Zaczynam się bać, że nie dotrę do domu.

Nie.

Muszę dotrzeć do domu.